Rok VI. Warszawa - Kraków, 17. Lipca 1914. № 74.

PRZEGLĄD KRYTYKI
ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem

Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ZGODA 6.

PRENUMERATĘ w cenie 2 rb. 40 kop. rocznie — wraz z przesyłką pocztową, lub odnoszeniem do domu – przyjmują wszystkie księgarnie. Cena pojedyńczego numeru: kop. 20.

OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

TADEUSZ MICIŃSKI.

SYLFY WARSZAWSKIE.

Wolej z Madejem na leśnej murawce
się spotkać! wolej tygrysa szpon, albo Thuga dławcę —
niż Anonima czytać o się — sprawozdawcę.

Ty polskim pogrzebowcom w Muz dziewięciosali
rzucasz pioruny, jak Wotan w kirysie ze stali —
sylf niewidzialny chce — by się jego bali.

Jak komar lwu wejdzie ci do ucha —
w imię skromności podżegna twego nadętego ducha,
a publiczność Szczekalskiego pojmie i wysłucha.

Sylf cię, gdy zechce — w piór tęcze ubierze,
Sylf cię postawi na podgwiezdną wieżę,
lub straszyć tobą będzie mamki i balwierze.

„To źle, że artysta mówi nam o pracy,
że tknął kwestyi drażliwej u bandosów płacy,
na kremę naszą sarka iż z niej łotry (będą?!) i żebracy!

Jeśliby w nadziemne wiódł ultrafiolety,
to pochwaliłyby czule herbowe karety,
a my za chwilę mgły niebiańskiej — nie zgubim poety

Gdy o miłości prawił, ptaków tokowaniu,
[wszak Lato już w powietrzu — prawda Limciu, Faniu?]
ale głosić Lucifera — tu przy grzybobraniu?!...

Jak się ważyłeś rzec, że arystokracja marna,
że udaje lirykę, lecz jest bezofiarna,
a któż młodzieży sieje takie gorzkie ziarna?

Gdybyś tłomaczył w ciszy proroctwa Brygity,
byłbyś mistyk z Berlina mądry, samowity;
gdybyś szedł z masonami, byłbyś też okryty...

Lecz poeta jak albatros buja wśród zamętu,
przytem — wciąż sam; więc z chrzanem go zjemy do szczętu —
najlepiej haczyk ostry w kulce z komplimentu.

Pisze prozą... czemuż na szczudłach nie łazi?...
pisze dramat... pewno wśród mistycznej mazi —
nikt steku większych zbrodni też nie wyobrazi!

Nacóż nam Bazilissa, jeśli są — Macochy —
naco Wita Walkirja, kiedy mamy — kwochy?
tym podobne niestrawne rzuca do ścian grochy.

Miciński — jak wiadomo — zawsze ma swe „ale“ —
to jelita nam wykręca w swym mistycznym szale,
to mówiąc o głupocie: mówi nazbyt zrozumiale.

Źle gdy w Nietocie mistyk, źle, gdy realista,
źle gdy w Księdzu Faustowskim jest luciperzysta!
źle wogóle, że wśród nas jest: to oczywista!

Niechby z paniami zwiedzał on u Chramca Tatry
i nucił sonety, boćkając Fikalską u watry —
takie natchnienia weźmiem, choćby w produkcjach Imatry!

Lecz pędzić sto lat naprzód — lub śnić w jaskini kopalnej,
Tego w „Polsce“ nie pragniem — w „Polsce“ obliczalnej...
Najlepiej — wiesz, Miciński! — ty w łeb sobie palnij!“...

To rzekłszy, Sylf przesiąknął w warszawskie powietrze,
Nikt oń się nie dopyta, nikt się z nim nie zetrze...
Więc zagadka: funt błota i funt pierza... Z dwojga — co jest letsze?

Postscriptum:
Redakcja ta Sylfów nie żywi, Anonimów gani —
więc bierze Micińskiego wyraz ten megalomanii —
bo wszak Tragikom dawano miecz do ręki — nawet — — w Danii!..

STANISŁAW POTOCKI.

„Czyli się z wiekiem świat pogorsza“?

(Rozprawa o duchu pism Machiawela, z uwagami nad tém zapytaniem Czyli się z wiekiem świat pogorsza?).

(Dokończenie).

O hoyności i oszczędności, przedmiocie Rozdziału XVI. takie iest zdanie Machiawela: „Szafuie Xiążę albo własnym maiątkiem, albo swoich poddanych, lub cudzym. Co się tycze własnego, oszczędzać go powinien, lecz z cudzego ma być hoynym, inaczéy nie szliby chętnie za nim żołnierze; ile że nie masz żadnéy nieprzyzwoitości szafować wspaniale tém, co nie iest ani twoiém, ani twoich poddanych; iak to czynili Cezar, Cyrus i Alexsander. Nic ci tak nie szkodzi, iak trwonić własny maiątek; bo im więcéy iesteś hoynym, tym mniéy być nim możesz, i wpadasz albo w ubóstwo albo w pogardę. Jeśli zaś pierwszego chcesz uniknąć, staiesz się znienawidzonym od wszystkich złodzieiem. Otóż iedna z rzeczy, których naywięcéy Xiążę strzedz się powinien, iest nienawiść i pogarda, na które go zwykle hoyność naraża.“

W rozdziale XVII. znayduie się rozwiązanym to zapytanie: czyli lepiéy być przedmiotem miłości czy obawy? W tym względzie przenosi nawet Machiawel

srogość Cezara Borgii, która połączyła i uśmierzyła Romaniią, nad łaskawość Florentczyków, co nie chcąc uchodzić za okrutnych, dali im zniszczyć Pistoią. „Naylepiéyby było, dodaie, być iednym i drugim, to iest kochanym i obawianym, ale prócz tego, że to iest rzeczą nader trudną i że wybierać trzeba; pewniéy iest trwogą panować. Bo wyznać należy tę prawdę, że wszyscy ludzie są niewdzięczni, niestali, obłudni, boiaźliwi i chciwi. Póki im dobrze czynisz a nie potrzebuiesz ich pomocy, ofiarować ci będą swóy maiątek i dzieci, zgoła wszystko co maią, iest twoiém. Ale kiedy cię opuszcza fortuna i oni cię porzucaią, a ty giniesz dla tego, że zawierzaiąc ich słowom, nie szukałeś pewnieyszéy podpory! Bo co się tycze tych, których sobie zobowiązuiemy dobrodzieystwami, a nie prawdziwą wielkością odwagi, więcéy zasługuiemy na ich przyiaźń niżeli ią posiadamy, a zatém nie możemy na nich liczyć w potrzebie. Dodaymy, że ludzie mniéy się obawiaią obrazić tego, który sobie zjednywa miłość, iak tego co wraża obawę. Bo kiedy miłość nie iest wstrzymaną, iak tylko nieiakiemi więzami przyzwoitości, (które ludzie, co są wszyscy złemi, rwą, ile razy w tém korzyść swoię znayduią) boiaźń iest wstrzymaną przez obawę kary, która nigdy nie ustaie. Przecież Xiążę niech takę tylko wraża obawę, by nie był nienawidzonym, ieśli nie iest kochanym; bo nie trudno mu będzie połączyć iedno z drugiém, byle się wstrzymał od tykania maiątków i żon poddanych swoich, a ieśli kiedy przymuszonym zostanie, skazać na śmierć którego z nich, dopuszczać się tego nie powinien, nie usprawiedliwiwszy wprzód powodów i bynaymniéy nie korzystaiąc z cudzego maiątku; ile że ludzie łatwiéy zapominaią śmierci oyców swoich, niż utraty ich dziedziny.“

Naystosownieyszym do polityki dzisieyszéy iest pono Rozdział XVIII. w którym Machiawel waży: czyli Xiążęta dochowywać powinni słowa swego? Chwali on wprawdzie w Xiążętach dobrą wiarę, lecz doświadczeniem czasów swoich dowodzi, że ci tylko dokonali wielkich rzeczy, którzy o nią nie dbaiąc, innych podeyść umieli. „Trzeba, mówi on, być lisem, by znać sidła, a lwem, by postrach wrażać wilkom. Nie znaią tego ci, co tylko lwa udaią; z tego więc powodu, xiążę roztropny nie powinien dotrzymywać słowa swego, kiedy mu iest szkodliwém, i kiedy okoliczności w których dać go musiał, iuż nie istnieią. Zaiste ta zasada złąby była, gdyby wszyscy ludzie byli dobremi, ale że są wszyscy złemi, i żeby ci nie dochowali danego słowa nawzaiem, nie powinieneś go im dochowywać, do czego ci nie braknie na pozorach. Mógłbym dać tego tysiączne za czasów naszych przykłady, mówi daléy Machiawel, i okazać ile obietnic, ile traktatów, spełzło przez złą wiarę Xiążąt, między któremi ten, co naylepiéy umiał być lisem, naylepiéy także zaradził sprawom swoim. Lecz trzeba umiéć dobrze utaić ten rozum lisa, i być zdolnym do zmyślania i układania postawy podług potrzeby. Bo ludzie są w tém tak łatwowierni i tak przyzwyczajeni ulegać czasowi, że ten co zawodzi, znayduie takich co mu się zwieść dadzą. Z dzisieyszych przykładów przepomnieć nie mogę iednego. Papież Alexsander VI. oszukiwał ciągle przez cały bieg życia swego, nigdy człowiek nie był więcéy od niego przekonywaiącym, nikt nigdy nie zobowiązywał się sroższemi przysięgami, a nikt nigdy nie dotrzymał mniéy danego słowa, przecież udało mu się zawsze zwodzić szczęśliwie. Tak biegłym był on w rzemieśle uwodzenia ludzi! Nie iest więc rzeczą potrzebną, ażeby Xiążę posiadał wszystkie przymioty, o których wspomniałem, ale tylko by miał ich pozór (*).

*) Mówiono o Alexsandrze i synu iego Cezarze Borgii, że oyciec nie robił nigdy tego co mówił, a że syn nie mówił nigdy tego co robił; i że ieden iak drugi mieli za prawidło, dawać słowo swoie wszystkim, ale go nie dotrzymywać nikomu; odpowiadaiąc tym, co im wymawiali ich złą wiarę, że wprawdzie przysięgli, lecz nie przyrzekli dotrzymać przysięgi swoiey.

Smiem nawet twierdzić, iżby mu było niebezpiecznêm mieć ie rzetelnie i niemi się rządzić, zamiast że mu iest użytecznêm, udawać że ie posiada. Powinieneś wydawać się łaskawym, wiernym, uprzeymym, lecz przytêm powinieneś tak być panem siebie samego, iżbyś mógł i umiał w potrzebie działać przeciwnie. „Jestto pewnêm twierdzeniem, dodaie Machiawel, iż Xiążę, a mianowicie nowy, nie może zachowywać tych wszystkich przepisów, które ludzi czynią w oczach naszych dobremi, bo potrzeby stanu iego przynaglaią go często do gwałcenia wiary, miłosierdzia, ludzkości, i religii, tak dalece, że musi zwracać i kierować swym rozumem podług wiania fortuny, nie zbaczaiąc od dobrego póki może, ale też wkraczaiąc w złe bez obawy, kiedy tego wymaga potrzeba." Reszta przepisów Machiawela w tym rozdziale zamkniętych, iest tylko dobitnieyszêm rozwinięciem powyższych, dość przez się wstrętu godnych, a przecież zbyt znanych i używanych, byśmy się dłużey nad niemi zastanawiać mieli. — Uważać wszakże należy, że Machiawel szczególniey nowym Xiążętom takie daie porady.

W rozdziale XIX. wskazuie Machiawel iak należy Xięciu unikać pogardy i nienawiści. Poparłszy on rozmaitemi przykładami, mianowicie Cesarzów Rzymskich, ile na têm zawisło Xiążętom, by pogardzonemi i nienawidzonemi nie byli, roztrząsnąwszy na czyiéy przychylności więcéy im zależy, możnych, ludu, albolitéż żołnierzy, kończy rzeczony rozdział tą ciekawą uwagą „Na zamknięcie téy materyi powiem, iż Xiążęta czasu naszego nie maią wielkiéy potrzeby iednania sobie żołnierzy, bo żaden z nich nie ma woysk zamieszkałych w ich prowincyach, iak też były w prowincyach Państwa Rzymskiego, gdzie zatêm stawało się rzeczą potrzebnieyszą trzymać na wodzy żołnierzy niż lud, bo ten nie był tak mocnym iak tamci. Lecz dzisiay wszystkim Xiążętom więcéy zależy na władaniu ludem niż żołnierzami, bo ludy są mocnieyszemi, wyiąwszy przecież Cesarza Tureckiego i Sułtana Egipskiego. Pierwszego, ponieważ utrzymuie zawsze około 15 tysięcy piechoty i tyleż iazdy, od których zawisła pewność i potęga państwa iego, a których z tego powodu iest mu koniecznie potrzebnêm dochować przywiązanie. Drugiego z przyczyny, że kray iego będąc w ręku żołnierzy, trzeba by ich miał za przyiaciół o lud nie dbaiąc." — Jakżesz się czasy odtąd zmieniły, nie masz dziś prawie Xiążęcia w Europie, któryby nie utrzymywał znacznieyszego woyska, niż temu będzie trzy wieki Cesarz Turecki? Cóż dopiero mówić o tych, co żołnierzy liczą krociami? przecież nie masz dziś żadnego, któremuby naywięcéy nie zawisło na przywiązaniu poddanych.

Jeden z nayużytecznieyszych kięgi Machiawela rozdziałów, iest XXIII, w którym dowodzi Xiążęciu, iak ma unikać pochlebców; ten zaiste do wszystkich wieków i do wszystkich czasów należy. Przedstawiwszy w krótkości znane dla Xiążąt niebezpieczeństwo podchlebstwa, nie radzi mu wszelako Machiawel słuchać od każdego prawdy, przez obawę by zbyt wolne dla wszystkich iéy wynurzenie, wnet nie osłabiło winnego mu uszanowania. Ogranicza więc to prawo do małéy liczby wybranych poradników, których Xiążę ma się radzić, kiedy się iemu, nie zaś kiedy im się podoba, tak, iżby nikt nie śmiał dawać porady, ieśli on tego po nim nie żąda. Wreszcie dodaie, iestto rzeczą niechybną, że Xiążę który przez się nie iest roztropnym, nie może być dobrze rządzonym, chyba że przypadkiem da się rządzić mądremu człowiekowi, ale w tedy może być dobrze rządzonym, lecz długo być nim nie zdoła, bo taki Minister wnet go wyznie z Państwa iego. Ale ieżeli Xiążę nieroztropny ma wielu doradców, nie będzie on w stanie poiednania zdań ich przeciwnych, bo ludzie tylko myślą o sobie, innych nigdy nie znaydziesz: są oni bowiem powszechnie i zawsze złemi, ieśli ich nie nagli przymus by dobrem byli. Ztąd wynika, że zdrowe rady z kądkolwiek one pochodzą, są owocem własnéy Xiążęcia roztropności nie zaś poradców iego.

Rozdział XXVII i ostatni, w którym Machiawel zachęca Medyceuszów do oswobodzenia Włoch od iarzma barbarzyńców, to iest tych Europeyskich narodów które wtedy panowały we Włoszech, wystawia ieden z tych przykładów, co obok śmiałości rozumu ludzkiego dowodzi słabości iego; któż bowiem mógłby mniemać, że te zabobonne słowa wyszły z ust Machiawela, ku poparciu zamysłu oswobodzenia Włoskiéy krainy od obecnego iarzma? „Wszystko, mówi on do Wawrzyńca Medyceusza, przykłada się do tego zamysłu, nie może w têm się znaydować wielkiéy trudności, ku czemu prawie powszechną jest skłonność, chyba że wskazana ku temu odemnie droga opuszczoną zostanie. Lecz co większa, widziemy niesłychane zjawiska, otworzyło się morze, chmura wskazała drogę, woda wytrysnęła z kamienia, manna spadła z Nieba, nakoniec wszystko zbiega się ku twoiéy wielkości, a tyś reszty dopełnić powinien." Duch zabobonny wieku oczywiście przebiia w tych ostatnich słowach Machiawela, i dowodzi, że ieśli on nie był własnym iego duchem, to przynaymiéy tak powszechnym wiekowi iego, że widział w nim ważną pobudkę wzmocnić zdolną szlachetne uczucia, które sama miłość oyczyzny i własnéy swobody, tak potężnie we Włochach wzbudzała. Przyznaymy, że w dzisieyszym wieku podobne pobudki śmiechby tylko wzbudziły, iak posiane w dziele Machiawela okropne zasady polityki wieku iego, zgrozę wzbudzaią.

MARYAN DIENSTL.

Teatr, czy kinematograf?

Wojciech Boguslawski w „Dziejach teatru Narodowego" przytacza projekt z r. 1810 „teatru ludu", zwanego „teatrem komicznym", który obok sceny narodowej miał: „bawić lud niższej klasy przez melodramy, pomniejsze komedje, komedjo-opery i wszelakie krotofile. W nim szkoła dramatyczna i baletowa sposobić się będą w początkowym swoim zawodzie".

Mówi tak w epoce, w której, według słów jego *) powodzeniem cieszyly się Melodramy, Niemiecczyzny i Buffonadye, ledwie dwóch przyzwoicie wierszem klasyczne sztuki przekładających znalazło się rymotwórców, wszelako Scena Ojczysta kilkanaście takowych dzieł w krótkim przeciągu czasu wystawila, jakiemi były „Cyd", „Cynna", „Horazjusze" Kornela, „Brytanik" Rasina, „Mazepa", „Edyp", „Sierota chiński", „Brutus", „Alzyra" i „Zaira" Woltair'a, oprócz jeszcze drugiego rzędu dzieł Fenelona, Abla, „Otella", „Króla Leara" i innych.

Dziś aczkolwiek zamiłowanie publiczności do melodram, niemiecczyzny i buffonad nie ustąpilo, to jednak na tym repertuarze nie może poprzestać teatr szlachetnie pojmujący swój obowiązek rozwoju smaku i podniesienia kultury.

Krotochwile i farsy, godne wnuczęta dawnych „buffonad" i „zabaw tureckich" stały się pożądaną rozrywką dla spokojnych zjadaczy chleba, śmiejących się do rozpuku na widok galopady obłędnej karuzeli manekinów farsowych.

*) Wojciech Bogusławski: Dzieje teatru narodowego na trzy części pozdzielone. Warszawa r. 1815. str. 220.

Sytuacyjna komika farsy, z wpisanym w nią nieśmiertelnym trójkątem małżeńskim, oraz tendencyjny melodram, starający się nieudolną zwykle karykaturą zwalczyć siedm grzechów głównych, nie mogą być posilną strawą publiczności polskiego teatru. Ze sceny najgoręcej do serc widzów przemawia poeta.

Prawdziwy talent i poezya działają potężnie na serca i myśli maluczkich, kształcąc je i podnosząc ku owym przestworzom, gdzie płoną znicze poezyi.

W twórczości dramatycznej niema t. zw. sztuki stosownej, lecz jest tylko jedna królewska sztuka geniuszy teatru, i wysiłki pomniejszych talentów w kierunku obyczajowym, narodowym, społecznym, które działają na scenie wyłącznie tendencyą treści, niżli rzetelną wartością i pięknem formy scenicznej.

Arcydzieła dramatycznej literatury łatwiej trafiają do duszy i serca ludzi prostych, niżli tandetne elaboraty uscenizowanych rozprawek, historycznych, lub obyczajowych ze śpiewkami.

Według znanego komunału, każde społeczeństwo ma teatr, na jaki zasługuje.

Teatrem, raczej surogatem teatru dla ludu jest dotychczas u nas kinematograf.

Oddawna na Zachodzie zwano kinematografy teatrami ubogich. Nieznaczy to, by kinematograf mógł zastąpić całkowicie teatr i dać widzom tę sumę wrażeń estetycznych, jaką daje żywe słowo rodzimej poezyi dramatycznej.

Tajemnica powodzenia kinematografu tkwi w amerykańskiej organizacyi handlowej tych widowisk, a co za tem idzie: wygody, taniości i sensacyjnej aktualności.

Tajemnica *upadku* kinematografu tkwi w niewolniczej, bezwolnej jego zależności od teatru, autorów, aktorów i aparatu technicznego sceny.

Nie trudno dojrzeć na tle nerwowej gorączki filmy, widma jej upadku. Rzucono dziś na ekran wszystko, co soczewki aparatów przeróżnych krajów globu ziemskiego pochwycić mogły Udoskonalono techniczną stronę widowiska w niezwykły sposób, wyzyskano wszystko cokolwiek by działało na nerwy widza w sposób ogłuszający. Oślepiająca siła wrażeń wzrokowych ekranu nie mogła jednak przygłuszyć *tęsknoty do żywego słowa, które jest jedyną niezastąpioną duszowładną potęgą teatru.*

Naśladownictwo jednostronne teatru w kinematografie jest równią pochyłą, po której powoli lecz widocznie stacza się kinematograf! . Kinematograf wynosi z teatru tylko ułomek dramatycznej akcyi, uchwycony na dwuwymiarowej płaszczyźnie ekranu. Obraz kinematograficzny działający na jeden zmysł wzroku niepokoi harmonję uczuć estetycznych, dając przy reprodukcyi dramatycznej akcyi wrażenie niedomówione, niecałkowite w swych przesłankach logicznych.

Kinematograf przetwarza dramat na pantominę, pozbawiając ją najszacowniejszej wartości t. j. *plastyki i muzyki*, zastępującej godnie słowo dramatu, gdyż tylko *w wyraźnej łączności gestu z rytmiką muzyczną tkwi* artystyczna wartość pantominy.

Kinematograf nie może być pantominą muzyczną, a mając owe środki, *a priori* ograniczone, nie może odtworzyć w mechaniczno bezduszny sposób iluzyi teatru nawet przy pomocy najśmielszych pomysłów Edisona, łączących skrzek tuby gramofonowej z migotaniem filmy.

Rozwój kinematografu, niesłychanie szybkie spopularyzowanie tego rodzaju widowisk przyniosło też w stosunku do teatru wiele *przymiotów dodatnich.*

Z tych najważniejszy, iż przyswoił dla teatru i wychował na widza teatralnego rozliczne masy, które nie znały dotychczas teatru, w żadnej formie, a dla których ekran stał się przygotowawczą szkołą na wdzięcznych słuchaczów prawdziwego teatru.

Kinematograf nauczył szerokie nieuświadomione warstwy ludzi spędzać wolny czas w sali teatralnej wśród powodzi sensacyjnych dramideł. Obrazy o poważniej-

szej treści w wykonaniu artystów, wytworzyły wśród widzów zainteresowanie się i chęć poznania prawdziwego teatru. Do niewątpliwych zalet widowisk kinematograficznych należy zapoznanie się widzów z grą i mimiką wybitnych nawet artystów. Udział ich w tych przedstawieniach staje się dla widzów materyałem do porównań i analogji przy sluchaniu prawdziwego teatralnego przedstawienia. Wskutek rozpowszechnienia kinematografu wzrosły mimowoli w ostatnim lat dziesiątku wymagania wszystkich sfer publiczności teatralnej.

Najuboższa ludność Warszawy, w braku innych odpowiednich teatrów utrzymuje przeszło *pięćdziesiąt kinematografów* w Warszawie, przynoszących krociowe zyski berlińskim centralom i różnym zamorskim pośrednikom tego olbrzymiego już dziś handlu.

Drobnomieszczańska i robotnicza ludność Warszawy składa w *obce ręce* ciężko zapracowany grosz, otrzymując za to jałowe widowiska, w których prześcigają się w brutalności ludzkie namiętności, szarpiąc biedne, skołatane nerwy robotnika, i wprowadzając myśli na zbrodnicze tory.

Artystyczny teatr dla ludu, prowadzony w wysokim obywatelskim duchu zapoznający widzów za niską opłatą z arcydziełami naszej i obcej literatury należy do najbardziej palących potrzeb kulturalnych miljonowej naszej stolicy.

ANTONI PIOTROWSKI.

Memoryał Senatu Akademickiego..

Sławny memoryał senatu akademickiego Wszechnicy Jagielońskiej wywołał dość żywą wymianę zdań o tem: jaka-to mianowicie część młodzieży akademickiej wchodzi na Wszechnicę Jagielońską — i wogóle do wyższych uczelni — nie należycie pod względem rozwoju umysłowego i kulturalnego przygotowana? W całej tej sprawie tkwi nieporozumienie — które niepotrzebnie rozgoryczyło niejednego Polaka.

Naturalną jest rzeczą, że wobec wielkiej w Galicyi demokratyzacyi nauki — przez bezpłatne szkoły Ludowe i bardzo ułatwiony dla szerszego ogółu dostęp do szkól średnich — te sfery, które do niedawna ograniczać musiały swoje wykształcenie do nauki czytania i pisania — obecnie dążą już do nabycia wiedzy wyższej, a przez to do ułatwienia sobie życia przez wybór zajęcia już po za ciężką dolą małego rolnika, albo źle płatnego i lekceważonego proletaryusza roboczego. Jest-to ewolucya żywiołowa, wynikająca ze stosunków, w jakich znajduje się Galicya, szczególniej tam, gdzie proletaryat rolny i robotniczy musi szukać zarobku na wyżywienie się, albo po za granicami swego kraju, albo zgoła po za Europą.

Wiadomo, że nadmierny jest w Galicyi procent drobnych rolników — którzy ze swego zarobku poprostu nie mogą się wyżywić. Więc oczywiście po za emigracyą czasową na „Saksy“ i emigracyą często bezpowrotną do obydwóch Ameryk szukają oni innego sposobu zapewnienia sobie kawałka chleba — na drodze naukowej.

Że taka młodzież — wychodząca z chat ubogich robotników rolnych i drobnych właścicieli rolnych — nie może odebrać wychowania domowego tej miary i tego gatunku, co młodzież wychodząca z domu większych posiadaczy ziemi, a choćby tylko średnio zamożnych mieszczan — tego dowodzić nie trzeba, ani tem mniej dziwić się temu.

A dalej. Młody chłopiec, oddany na tanią stancyę do miasta, albo do bursy, musi pracować bardzo, aby zadosyć uczynić wymogom władz szkolnych i nie ma czasu ani możności przebywania w towarzystwie ludzi kulturalniejszych; i nie ma już czasu na czytanie dzieł ogólnie kształcących. W uniwersytetach tak bardzo pochłania ubogą młodzież naszą staranie się o uwolnienie od czesnego, przez częste i regularne zdawanie egzaminów, uzyskiwanie zapomóg, stypendyów i t. p., że przy przeciętnych zdolnościach sprawy te zajmują jej prawie cały czas. Kiedyż tedy młody chłopiec z ludu może wykształcić się ogólnie, ogładzić, nabrać śmiałości sądu, wyrobić sobie zdanie jakiekolwiek? Jest on i pozostaje aż do chwili zdania doktoratu lub otrzymania patentu — proletaryuszem uczonym. Dopiero po zdobyciu możności jakiego-takiego zarobkowania, w wypadku, jesli mu się uda uzyskać jakiś znośny zarobek, może on myśleć o tem, aby się dostroić do ogółu inteligencyi. I dopiero w miarę zdobywania choćby względnej niezależności bytu zaczyna się wyrabiać z tej poczwarki człowiek.

Mając przez kilkanaście lat styczność z ubogą młodzieżą galicyjską w instytucyach Sokoła—widziałem to przetwarzanie się tych poczwarek w ludzi kulturalnych, a często i tęgich. Jeden syn górala z pod Myślenic, prawnik, został posłem do Rady Państwa, inny bardzo tęgim — przemysłowcem, jeszcze inny — cenionym lekarzem—lub wreszcie dobrym i inteligentnym urzędnikiem miejskim lub państwowym. Wszyscy oni zostali ludźmi kulturalnymi w całem tego słowa znaczeniu, a w przekonaniach pozostali demokratami Więc jeśli Senat skarży się na tak krótką metę-to widoczna, iż nie śledził swoich pupilów po za wrotami Akademii i to, co było naturalnym objawem przejściowym, brał za jakieś ujemne predestynacje prawie że rasowe.

Dowodziło-by to może pewnej niechęci ze strony konserwatywnej części Senatu ku dopuszczaniu młodzieży ze sfer ubogich do wyższych studyów naukowych.

Jednak sądzić tego w ten sposób nie chcemy, uważając owszem skargę Senatu za pogląd pobieżny, nie badający przyczyn, nie patrzący w przyszłość.

Bez dopływu nowych, zdrowych sił od podstaw żadne społeczeństwo istnieć nie może, bo jeśli — jak w niektórych krajach — utrudnia się proletaryatowi kształcenie—osiąga się w zamian efekt najmniej pożądany. Ale niestety cechą wszystkich „konserwatystów“ jest ślepota na odległość i trzymanie się z uporem starczym płotów ogradzających kasty. A przecież tak, jak każdy płot zgnić musi, tak znowu żadna siła ludzka nie zatrzyma tej żywiołowej siły, która każdy proletaryat zawsze i wszędzie pcha coraz wyżej

Uspokójmy się więc. Jest tak, jak być musi... Ojciec, ubogi rolnik, a syn lub wnuk jego—doktór, inżynier, urzędnik, adwokat i t. d.—czyli całkiem już inteligentny i kulturalny członek społeczeństwa—ale *demokrata*, a Senatowi Akademickiemu zapewne i o to chodziło potroszę, aby nie powiększać zastępu tej właśnie kulturalnej demokracyi. A czyż piękną była-by ta niechęć do powiększania się zastępu ludzi oświeconych w kraju, o którym jeśli się mówi, że cierpi na „hyperprodukcyę inteligencyi“—to mówi się dlatego, aby pokryć i usprawiedliwić własne niedołęstwo.

MARYAN TRZEBIŃSKI.

Wycieczka szkolna.

(Obrazek z natury).

Doktór otrzymał list, a w parę dni potem depeszę z prośbą o zaopiekowanie się wycieczką szkolną. A że doktór nasz był-to znany działacz społeczny — nic więc dziwnego, że się do niego zwrócono. Zresztą był do tego przyzwyczajony, turyści bowiem coraz częściej zaglądali w te strony tak, że skromne miejscowe gospody nieraz ich pomieścić nie były w stanie Doktór miał duży dom, a rodzinę niewielką, założył więc rodzaj pensyonatu i wkrótce w całem miasteczku było wiadomo, że „kto porządniejszy" do doktora zajeżdżał.

List i depesza narobiła nieco kłopotu, bo trudno tak odrazu przygotować miejsce na kilkanaście osób; lecz odmówić, jakoś nie wypadało, chodziło tu bowiem o uczniów jednej z najwięcej cenionych w naszym kraju szkoły. Wpisy w niej były tysiącrublowe, to też tylko „najporządniejsi" ludzie mogli tam posyłać swe dzieci, aby korzystały z wzorowych urządzeń tej nowożytnej uczelni, zkąd wszystko co stare i przeżyte, zostało usunięte. Nie było więc klas — tylko „grupy", nie było stopni, ale „adnotacje", wreszcie klasy, respective „grupy" nie nazywały się *„pierwsza, druga, trzecia"*, ale grupy: A, B, C, i t. d. Zresztą ponieważ założyciel i kierownik tej uczelni co rok jeździł za granicę (na koszt szkoły), nie było więc zdobyczy z zakresu pedagogiki, która nie znalazła-by tu zastosowania.

Na wycieczkę wybierali się drugo klasiści, czyli według szkolnej nomenklatury „Beki", chłopcy rumiani, grzeczni i dobrze ułożeni. Przez dwuletni pobyt oznajmili się dostatecznie z systemem wychowania w szkolnym internacie, a zwłaszcza przejęci byli przepisami hygieny. Każdy z nich wiedział co zdrowo jeść na kolację, jak się należy zachowywać na spacerach lub przy grze w piłkę, to też pilnowano się nawet i strofowano nawzajem:

„Bolek, chodź zaraz na górę, boś dziś po spacerze nie leżał! Jak się pani dowie, to zobaczysz. ." i t. p

Wybierały się tedy na wycieczkę „Beki". Doktór szkolny zdyskwalifikował kilku słabszych lub chwilowo chorych, reszta, ubrawszy się w garnitury „sportowe" wyruszyła w drogę koleją. Przyjechali z nimi również: lokaj, chłopak do noszenia ciężarów i dwie dozorczynie.

Pierwszy dzień pochłonęło zwiedzanie pamiątek miejscowych, a było tu co oglądać: dwa kościoły, starożytne gmachy i domy historyczne, dom Długosza i t. p Na jutro zaś projektowana była wielka parowiorstowa wycieczka na sąsiednią „Łysą Górę" z klasztorem, fundowanym przez Łokietka. Pamiątki zwiedzano pod kierunkiem dozorczyń. Młoda blondynka w binoklach tłomaczyła wszystko, nieraz odczytywała całe ustępy z niesionych przez lokaja książek. Wówczas młodzi słuchacze notowali sobie w karnecikach, byli bowiem obowiązani zdać sprawę z „wrażeń" swym wychowawcom. Mięszały się im jednak biedakom, historyczne imiona, mięszały daty i style, a zwłaszcza nazwiska „Łokietek" i „Długosz" plątały się bezustannie. Niektórzy z chłopców rysowali w swoich kajecikach, a jeden zamiast: „kropielnica z figurą Zbawiciela" zanotował nawet: „Zbawiciel z figurą kropiciela"...

Nazajutrz, w piękną czerwcową niedzielę chłopcy, pobłogosławieni przez miejscowego proboszcza, wyruszyli w drogę. Po stromych ścieżkach, wydeptanych przez

żydowskie kozy zwolna postępował długi orszak. Szare kurtki, czerwone krawaciki i białe „panamy“ chłopców, przecinały sylwety dozorczyń i krępa figurka doktora, zamówionego na wypadek jakiego nieszczęścia. Dalej szedł fotograf z przyrządami, dwóch służących z koszami pełnemi przekąsek, których haniebną moc wzięto z sobą na drogę, wreszcie spocony chłopak wiejski dźwigał całą kollekcję pelerynek i płaszczyków na wypadek, gdyby się paniczom zimno zrobiło.

Plan wycieczki był urozmaicony, oprócz bowiem zwiedzania klasztoru, towarzyszący wycieczce fotograf miał dokonać pamiątkowego zdjęcia podczas śniadania w sąsiednim lesie. Powrót po południu na obiad planowano drogą bitą bryczkami, łaskawie użyczonemi z sąsiedniego dworu, które już od rana były na miejscu. Poczciwy dziedzić był na tyle uprzejmy, że po namyśle posłał nawet i powóz dla osób starszych, zleciwszy furmanowi jechać ostro, aby na czas zdążył.

Senne i monotonne zazwyczaj nasze miasteczka ożywiają się i zmieniają swą barwę w szabas, jarmark i w niedzielę, to też rojno i gwarno było wtedy na rynku i przed kościołem! A drogą do miasteczka wciąż ludu przybywa! I oto suną barwne gromadki, chłopskie wózki skaczą po wybojach od pół wieku nie poprawianej drogi, a coraz to słychać „Pochwalony“. A pośród wózków i bryczek mknie lśniący powóz, furman dworski jedzie z fantazją, mijając rozstępujące się gromadki ludzi, spaśne koniki rwą ostro zwłaszcza, że pędzą z góry. .

Raptem słychać groźne „nabok“, konie, zciągane lejcami skręcają w rów a z pod kopyt wydobywa się nieludzki jęk... Robi się zamięszanie. Cóż się stało? Przejechano kobietę! Jedni podnoszą ją, inni groźnie atakują woźnicę, który nie namyślając się długo zacina konie. Lecz z tłumu odłącza się jakiś człowiek i pędzi za powozem, wiesza się koniom u pyska, a pędzi. Furman konie pogania, batem tnie, lecz napróżno — pędzą dalej razem. A tu gromadki ludzi coraz większe, coraz to ktoś drogę zastępuje, — ucieczka dalej nie możebna Już zapaśnicy za łby się zczepili i tarzają się w tumanach kurzu, aż wreszcie nic już nie widać, tylko jaskrawe chustki, kapoty i granatowe kaszkiety: to tłum niby barwny bukiet kwiatów polnych wyrósł naokoło, pokrył i zasłonił wszystko.

— Poturbowaną kobietę przyniesiono wreszcie do doktora i złożono na ławie u drzwi kuchennych. Chora liczyła przeszło lat pięćdziesiąt, ubrana była po wiejsku a z nogi pookręcanej szmatami krew się sączyła. Zebrała się też zaraz liczna gromada gapiów, słowa współczucia i rady sypały się nieustannie, przytem chorą pocieszano, że bywają na świecie gorsze wypadki: „Jakto na ten przykład na wojnie, gdzie i obie nogi człowiekowi urwie... Widać już taki dopust boski!

A chora leżała na ławie i z bólu wyła...

Nasz lekarz jednak jakoś nie nadjeżdżał, a doktorowa była dziś wyjątkowo zajęta. Obiad miał być nie tylko że wystawniejszy, ale jeszcze ułożony według szkolnych przepisów tak, aby zawierał potrzebną dla chłopców ilość białka, tłuszczu, węglowodanów i t. d. Zainteresowana jednakże niezwykłem ożywieniem w „poczekalni“ wyszła na schodki. Tam opowiedziano jej wkrótce wszystko, dowiedziała się również, że krewni przejechanej poszukują po całem mieście jej męża, aby „wypisał świadectwo“.

— A czy niema kogo z krewnych, żeby co dopomógł tej kobiecie, choćby zimnej wody na nogę przyłożył? — zapytuje doktorowa.

— Niema nikogo, tylko ta dziewczynka.

— A gdzie twój ojciec, czy matka?

— Tato pilnuje tego stangreta, coby mu nie uciekł, bo wszyscy powiadają, że się trzeba prawować.

— A matka?

— Matka pośli pilnować tate, bo powiadają, że chłop, jak to chłop, zawsze głupi, jeszcze go ta gdzie przekupią, do szynku zaprowadzą...

Z oburzeniem wróciła doktorowa do kuchni. Zła, roztargniona, zwymyślała kucharkę, a probując zupy poparzyła sobie język...

Słońce tymczasem przypiekało coraz mocniej, przed domem doktora zbierały się coraz to świeże gromady gapiów, muchy obsiadły sączącą się przez gałgany krew, a przejechana kobieta leżała wciąż na ławie i wyjąc z bólu — czekała!!

PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ.

BEZ KOMENTARZY.

W trzech ostatnich, **kolejno następujących po sobie** zeszytach — pisze wychodzący w Warszawie pod redakcją J. Wasercuga tygodnik **„Widnokrąg“:**

„Od czasu do czasu odbiorcy *Kurjera Warszawskiego* czytują korespondencje z Chicago, podpisane pseudonimem „Kłos“. Są to przeważnie pospolite bzdurstwa o rozmaitych widowiskach i sensacjach amerykańskich. Przyzwyczajono się do obojętnego rzucania okiem na tę dziennikarską sieczkę.

Lecz oto p. „Kłos“ poczuł w sobie „działacza“ politycznego i uznał, że w czasach obecnych reprezentant *Kurjera Warszawskiego* w Ameryce musi i stamtąd nadsyłać korespondencje o zabarwieniu politycznem, odpowiadającem panującemu dziś nastrojowi w kraju.

Jednym z żołnierzy, którzy pierwsi polegli pod Vera Cruz od kuli meksykańskiej, był jakiś Samuel Meisenberg. Pochodził podobno z Odesy i przed kilku laty przyjął obywatelstwo amerykańskie. Zwłoki Meisenberga przywieziono do Chicago i pogrzebano ze zwykłą w takich razach pompą.

Temu oto widowisku poświęcił p. „Kłos“ jedną z ostatnich korespondencji (N-r 157 *Kurjera Warszawskiego* z dnia 9-go b. m.), wyśmiewając „bohaterstwo Samuelka“.

„Krążą też pogłoski — pisze pan „Kłos“, — że Meisenberg za życia nie był „nieskazitelny“ i że wyjęto na niego coś 6 „warantów“ czyli wyroków aresztowania“.

Nie wiemy co zacz był ów Meisenberg i nic nas ta sprawa nie obchodzi. Lecz zapytujemy: kim jest ów p. „Kłos“, mówiący o „nieskazitelności?“ Otóż p. Kłos, korespondent „Kurjera Warszawskiego“ z Chicago, jest to p. Stefan Lewental, syn właścicielki tego pisma, p. Hortensji Lewentalowej, znany na bruku warszawskim rycerz przemysłu, który popełnił rozmaite malwersacje, i wreszcie, puściwszy w obieg weksle z nieautentycznemi podpisami, uciekł do Ameryki i schronił się tam przed ścigającą go ręką sprawiedliwości *). A to już nie są „pogłoski!“

Informacja powyższa jest bezwzględnie wiarogodna i *Kurjer Warszawski* nie poważy się jej zaprzeczyć.

---

*) S. Lewental był wydawcą dawnych *Kłosów;* synowi jego, Stefanowi, w metryce przed nazwiskiem Lewental, wstawiono nazwisko Kłosowski, stąd powstał pseudonim jego „Kłos“. (Przyp. „Widnokręgu“).

Można wiele rzeczy tolerować, jeżeli chodzi o takie pismo, jak *Kurjer Warszawski*, — wszakże fakt powyższy przekracza już wszelkie granice cynicznego obrażania zadań publicystycznych.

Dlatego żądamy od *Kurjera Warszawskiego*, by nam wyjaśnił, czem się to dziać może, że tego rodzaju osobistość dopuszczona jest do głosu w kwestjach społecznych na łamach tego pisma?

WZMIANKI KRONIKARSKIE.

× **Mickiewiczowskie „44“** stało się znowu sprawą aktualną, a najbardziej przekonywująco wypowiada się w tej ciekawej sprawie p **Konrad Prószyński** z Londynu. Bo oto co pisze on na łamach „Gazety Warszawskiej“:

„Cały szereg przypuszczeń urabianych na zasadzie życia Mickiewicza, Jego osobistych wierzeń i sympatyi i historyi współczesnej, przyszłej i t. d., nie daje ani jednego rozwiązania, któreby mogło być uważane za zbliżone do rzeczywistej myśli poety.

Rozwiązania te przeważnie wynikają z szeregów obliczeń kabalistycznych albo przypuszczeń skomplikowanych i każą myśleć, że Mickiewicz szczególniejsze miał upodobanie do łamigłówek. Nie sądzę, aby geniusz tej miary w momencie najwyższego natchnienia i w ustępie, który koncentruje ogrom myśli, poddawał się banalnej zabawce tworzenia łamigłówek. Wiadomo, iż geniusz zawsze idzie drogą najprostszą i wyraża się najprościej; jeżeli mimo to spotykamy utwory genialne, a trudniejsze do zrozumienia, możemy być pewni, że myśl zawarta wyrażona być nie mogła prościej bez uszczerbku dla całości utworu i nastroju.

Nie zgadzam się również z filozoficznemi wywodami p. Kierskiego w *Kuryerze Warszawskim*, uważającego zadanie za zbyt złożone i radzącego nie kusić się o rozwiązanie.

Jestem przekonany, że Mickiewicz, pisząc:

„*z matki obcej; krew jego — dawne bohatery. A imię jego czterdzieści i cztery*“, wyrażał *w sposób najprostszy* obraz, który mu się w ekstazie przedstawiał. Jestem pewien, że nie odrywał się wówczas od całego szeregu myśli wielkich dla zajmowania umysłu naiwnemi wyliczeniami, a gdyby nawet przyszły mu one do głowy, nie stawiałby ich na zakończenie ustępu, jako korony Swego utworu.

Sądzę, że dla rozwiązania zagadki należałoby się zwrócić do przypuszczeń najprostszych, elementarnych. Jeszcze raz powtórzę, że ludzie prawdziwie wielcy myślą zawsze najprościej i starają się wyrażać swe myśli elementarnie jasno, tak elementarnie, że przeciętny młody poeta z Parnasu wstydziłby się podobnych utworów, uważałby je za zbyt naiwne. Dotyczy to wszystkich utworów sztuki, nauki i t. d.

Nie jestem poetą ani historykiem i nie śmiałbym narzucać się z podawaniem rozwiązania wobec tylu nieudatnych prób podejmowanych przez ludzi kompetentnych. mogę jednakże poddać myśl. aby zagadkę Mickiewiczowską traktowano nie z wyżyn Parnasu, lecz w sposób najprostszy, najrealniejszy. Wówczas, jak sądzę, rozwiązanie znajdzie się łatwo.

Z innej strony ośmielę się poddać ludziom kompetentniejszym myśl do rozważenia, jaka nasunęła mi się mimowoli:

Słowa Mickiewicza wyrażają jasno przyszłego władcę Narodu i przedstawiciela idei polskiej, jednem słowem w wyobraźni popularnej „Króla Polskiego“.

Z matki obcej — prawie wszyscy królowie pochodzą z matek obcych lub z ziemi obcej. Możemy też przypuścić, że poeta wierzył w sojusz osobisty przez panującego innego kraju z Polską.

Krew Jego — dawne bohatery, — zdanie to popiera pierwsze i nie wymaga wyjaśnienia.

A imię Jego — czterdzieści i cztery.

Zajrzyjmy do historyi i wyliczmy książąt i królów Polski, poczynając od Piasta. Naliczymy ich 45-u; imię przyszłego winno być zatem 46; jeżeli jednak skreślimy Henryka IV Probusa i Wacława II—Czeskiego, którzy zbyt krótko i zbyt doraźnie mianowali się władcami Polski między Przemysławem i Władysławem Łokietkiem, otrzymamy w rezultacie, że przyszły Król Polski mieć będzie imię 44. *Imię*, jak naprzykład Zygmunt III ma imię III — trzeci.

Dodam, że wszelkie ważniejsze określenia, podawane przez umysły wielkie, odznaczają się matematyczną ścisłością, (jak określenia naukowe) i prostotą; sądzić należy, że i ów lakoniczny ustęp poety nie zawiera ani jednego słowa zbytecznego — jak również nie wymaga ani jednego słowa więcej.

Nie przypuszczam, aby poeta bawił się w wyliczenia kolejne królów wówczas, gdy w ekstazie tworzył zdania powyższe; wiadomo jednak, że umysł w chwili podobnego skupienia przeżywa w czasie, określonym na sekundy, długie i skomplikowane uczucia i przypomina szeregi obrazów i faktów, których w zwykłym czasie nie byłby w stanie odtworzyć bez dłuższego wysiłku. Mickiewiczowi cyfra ta mogła przyjść do głowy momentalnie na zasadzie momentalnego odtworzenia w umyśle szeregu postaci Królów Polski i nie jest wyłączone, że mógł się nawet omylić co do cyfry.

Przypuszczenie moje rzeczywiście wydać się może zbyt naiwne i proste, — uważałbym to jednak za dowód najpoważniejszy i dlatego podaję je do rozważenia osobom kompetentniejszym.“

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Sławomir. — „*Prometeusze*“ — Powięść psychologiczna współczesna. — Kijów-Warszawa — Nakładem Leona Idzikowskiego. — Stron 348.

Tadeusz Konczyński. — „*Królewna Lilijka*“ — Baśń w 5 aktach. — Warszawa — Nakład i druk S Orgelbranda S-ów. — Stron 144.

Tadeusz Konczyński. — „*Bunt*“ — Powieść współczesna. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 338 — Cena: 1 rb. 60 kop.

Józef Ignacy Kraszewski. — „*Z siedmioletniej wojny*“ — Powieść. — Dwa tomy — Warszawa, 1914. — Miesięcznik „Ciekawe Powieści“ — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 192 + 190.

Leon Piniński. — „*Muzyka, jako czynnik kultury*“ — Lwów. — Skład główny w księgarni H. Altenberga. — Stron 77.

Alfred Konar. — „*Młodość panny Mani*“ — Powieść. — Warszawa 1914 — Nakładem „Kasy Przez. i Pom. Warsz. Pomocników księgarskich“ — Stron 423.

Piotr Jan de Béranger. — „*Piosenki*“ — Wybór przekładów polskich. — Układ Wład. Nawrockiego, słowo wstępne Jana Lorentowicza. — Dwa tomy. — Warszawa. — Biblioteka „Muzy“. — Nakład S Orgelbranda S-ów. — Stron 206+196 — Cena: 1 rb. 50 kop

Fryderyk de la Motte Fouqué — „*Ondyna*“ — Słowo wstępne i przekład Artura Górskiego. — Warszawa. — Nakład S. Orgelbranda S-ów. — Biblioteka „Muzy“ — Stron 190 — Cena: 75 kop

Herman Bang. — „*Bezdomni*“ — Powieść. — Tłómaczyła Br Neufeldówna. — Warszawa — Nakład S. Orgelbranda Synów. — Stron 375.

Jan Kowerski. — „*Romans panny Julii*“ — Obrazek z natury. — Warszawa. — „Biblioteka Dzieł Wyborowych“. — Stron 166.

Adam hr. Sierakowski — „*Listy z podróży*“ — Część III.: Grecya, Hiszpania. — Część IV.: Egipt. — Warszawa. — „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ — № 805, i № 806 — Stron 265.

Peer. — „*Z małego zdrojowiska*“ — Kraków: G Gebethner i S-ka. — Warszawa: Gebethner i Wolff. — Stron 69.

Gustaw Flaubert. — „*Trzy opowieści*“ — (Legenda o św. Julianie Miłosiernym. — Proste serca. — Herodyada) — W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza. — Biblioteka „Muzy“ — Nakład i druk S. Orgelbranda S-ów — Składy główne: E Wende i S-ka Warszawa; L. Fiszer, Łódź. — Stron 180 — Cena: 75 kop.

M. de Sizeranne. — „*Niewidomy o niewidomych*“ — Warszawa — „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ — № 809. — Stron 130.

H. G. Wells. — „*Historya pana Polly*“ — Przełożyła z angielskiego Z. N. — Trzy tomy. — Warszawa. — „Biblioteka Dzieł Wyborowych“ — № 807, 808 i 810. — Stron 397.

(C. d. n.).

W NAWIASIE.

Z V-ej serji.

* * *

Złoto ofiarnych miodów Arkony
Błyszczy w Bałtyku twardym bursztynie,
Co się, jak polski ureus, winie
Na Pomorzanki piersi wzburzonej. .

W tem morzu chmurnem, dzikiem, ponurem,
W sag prasłowiańskich tajnem zwierciadle,
Uśmiechająca się nieodgadle,
Połyskująca bursztynów sznurem,

Gretchen pomorska, rybaczko smagła,
Której spalone, krzepkie ramiona
Porwać się mogły i na trytona,
Wabna, jak nimfa, zdrowa, jak jagła,

Bałtyckich *Brani-borów* najado,
W których dębiska szumiały święte!..
Twą dziką, świeżą wielbiąc ponętę,
Rymy u stóp Twych, jak lwy, się kładą!..

Wacław Wolski.

Z cyklu: Ronda miłosne.

⁂

Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki,
Złotemi arabeski dziwacznie wyszytej,
Z czarownym wdziękiem wschodnich haremów
[Charyty,
Oparłaś Twe złociste, wypieszczone nóżki...
W półmroku siały blaski przyćmione, syrenie,
Brylantowe arabskich sezamów pierścienie,
Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki..

Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki
Żarzą rajskie złocistych Twych nóżek słodycze,
Jakgdyby arcydziełka misterne, złotnicze,
Ozdobne w tęczujące brylancików muszki...
Z zaklętą w nie magicznie *Celliniego* duszą,
Do szalonych, obłędnych pocałunków kuszą,
Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki...

Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki,
Wyszytej cudną złotych arabesek lamą,
Podobne tęczującym, złocistym sezamom,
Z „Tysiąc nocy i jednej“ wzięte płoną nóżki,
Jakgdyby je wesołość ogarnęła pusta,
Że się do nich nieśmiało skradają me usta,
Na szkarłatnym atłasie baśniowej poduszki..

Wacław Wolski.

Wydawca: **Józef Krobicki** ul. Zgoda 6. Redaktor odpowiedzialny: **Zygmunt Badowski.**

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.